

205.

1874

17

LOKATOR PODDASZA

przez

Bolesława Prussa.

Uczony Reb Lajzer Skowronek poprawił aksamitną krymkę na si-
wiejacej już głowie, wytrząsnął na ziemię i schował w tylną kieszeń
prunelowego chałata swoje porcelanową fajkę, i, stojąc na środku brud-
nej sieni, głęboko rozmyślał nad tem: za którą też wyjrzeć ma bramę?...

Jeżeli wyjrzy za zieloną, na ulicę, może zobaczyć tam rzeźnika
pędzącego woły, starą babę z konewką, chlebem lub butelką w rękę,
a w każdym razie brunatny drewniany dom, którego parter zajmuje
blacharz i waciarz, a facyjatkę.... Pan Lajzer skrzywił się, odwrócił i po-
stąpił parę kroków ku bramie żółtej.

W tej stronie wszystko należy do niego. Ten stróż pokornie sto-
jący z czapką w rękę i to kwadratowe podwórce z wielką szopą na
środku i te poduszki czerwone, pierzyny w niebieskie kratki suszące się
na słońcu i ta o dach szopy oparta drabina, gdzie na trzecim szczeblu
od ziemi, dokazuje cudów zręczności pejsaty Dawidek, najmędrzy ze
Skowronków jacy egzystowali na świecie, wszystko to należy do niego.

Czy tylko to?... A tenże za szopą dom drewniany, mający ośm
okien na górze i pięć na dole?... A tenże drugi, na prawo, z trojgiem
drzwi i dachem blaszanym?... A ten chodnik, po którym mały Josek
eiałgnie na sznurze przewrócony do góry nogami stołek?... A ta na lewo
zbutwiała parterowa rudera, pod którą na stosie desek gnijących igra tro-
je brudnych i odartych dzieci, a goj bednarz z hałasem pobija wielką
beczkę?...

Smutna rudera! Żadna deska w jej ścianach nie przystaje do dru-
giej, żadne drzwi nie domykają się, żadnego okna otworzyć nie można,
żeby się nie rozleciało. Zczerniały, mchem porosły dach, tworzy taki

WIMEP
im. M. Łopacińskiego
w Lublinie
sygn. 1812

— 236 —

zawikłaną powierzchnią wiewrowatą, że najznakomitszy geometra nie podjąłby się jej badać, a przykrywa takich biedaków... ach! takich biedaków, że miłosierny Reb Lajzer, już piąty miesiąc ociąga się z wymówieniem im komornego.

Żółtawe oko Skowronka zatrzymało się na ostatniem oknie facyjki, z kądem przez wybite szyby od godziny już buchają kłęby pary. Tak wielka ilość pary zdradza wielki ogień, a zbyt wielki ogień...

— Ach! ach! — mruknął uczony żyd — oni mi jeszcze domy spali!... — i z wolna postąpił ku bednarzowi.

— Niech będzie pochwalony Marciniel..

— Na wieki wieków! — odparł bednarz składając narzędzia i dotykając ręką czapki.

— Co u tego Jakóba taki ogień w izbie?

— To ona... gotuje wodę do prania.

— Ny! ny! A jak tam z nim?

Bednarz machnął ręką.

— Wun tak casem wygląda jak pijany — ciągnął żyd.

— Gdzie zaś on tam pijany! Zwyczajnie, spadł z rusztowania i z tych czasów zrobił się taki jakiś... że to... eeel.. — objaśnił bednarz.

— Ny! ny! ja to zara pomiarkowałem. Wun raz u mnie drwa rąbał, ale nawet godziny nie porąbał i ustał. Ze jemu we szpitalu nie nie pomogli?...

— Co ta mieli pomódz, nawet mu nogi nie zgoili!...

— Franek!... Franek!... chodź ino tu! — odezwał się głos z facyjki, a rozmawiający ujrzeni w wybitem oknie, owiniętą w żółtą chustkę głowę kobiety.

Najstarsze z obdartych dzieci, które na widok gospodarza kryły się między gnijącemi belkami, pobiegło na schody.

— To jego dzieci? — spytał Lajzer.

— A jego! — odparł Marcin. — Troje na dole, a dwoje chorych w izbie.

— A wa! — mruknął żyd, i pochyliwszy głowę począł przysłuchiwać się rozmowie na górze.

— Gdzie wczorajsze kartofle co były w rynce... co?... — pytał gniewnie głos kobiecy.

— Abo ja wiem... matusiu! — odpowiedział z pewnem wahaniem głos dziecinny.

— Łiesz! boś sam zjadł w nocy; Józia cię widziała... Ja ci dam!...

— Jak Boga kocham matusiu!... żeby mi ręce i nogi połamało!... żeby mnie cholera!... — pisał chłopak przy akompaniamencie uderzeń.

— A masz!... a masz!...—krzyczała kobieta.—To będziesz łgał, będziesz kradł... będziesz się przysięgał?... A masz!...

Każdemu wyrazowi towarzyszył trzask mokrej ścierki upadającej na różne części ciała chudego i brudnego chłopca, który zanosząc się od płaczu mówił:

— A co ja temu winien, że mi matusia jeść nie dają, co?... A bom to jadł kolacyją?... abom jadł śniadanie... co?... I jeszcze mnie matusia biją za to!... U! hu!... hu!...

Zrobił się straszny wrzask, w którym oprócz bijącej matki i bi tego pacyjenta, przyjęło udział dwoje dzieci na górze i dwoje na dole. Zniecierpliwiło to żyda, który po chwili namysłu wszedł do sieni, z sieni na brudne i ruchome schody, i sapiąc ze zmęczenia, stanął na progu izby pełnej pary, zaduchu i woni mydlin.

— Jakubowa! pani Jakubowa!... co u was zawdy takie krzyki?...— zaczął przybyły.

— Ooo... to pan gospodarz?... zdziwiła się licho ubrana kobieta, a potem płacząc dodała:

— A cóż ja pocznę nieszczęśliwa z temi bachorami, kiedy nie się przed nimi nieuchowa i niczem ich nie nakarmi? Ten roboty nie ma, dzieci pięcioro, wszyscy wołają jeść, a ty choć sobie ręce do łokcia poździeraj, choć się sama rozdrzyj!...

— Ja wam co powiem, moja Jakubowa—przerwał oburzony Lajzer.— Że wy biedni, to jest prawda, ale że wy mi wiele nieporządku w domu zrobicie i nie płacie, to także prawda. Zawdy u was pranie, wylwanie, suszenie, ze świecą po strychu chodzenie, zawdy krzyk, a zapłaty nie ma, a pięć rubli winniście.... Wy mi głowę rozkrzyczycie, wy mi domy spalicie, wy.... wy się wyprowadzić musicie!... Już i was i waszych pieniędzy widzieć nie chcę....

— A panie gospodarzu!—zawołała kobieta—niechże pan tego nie robi, niech pan jeszcze będzie cierpliwy!...

— Co to cierpliwy?... ja już jestem pięć miesięcy cierpliwy!...

— Może się też Pan Bóg nad nami zlituje i staremu da jaką robotę, to się jeszcze wypłacimy...

— Robotę!... robotę!...—mruknął żyd.—Abo wy dbacie o co?... Abo wy nie wygnaliście od siebie jednej lokatorki?...

— To jest prawda panie gospodarzu, ale widzi pan gospodarz, ona to była takie nie dobrego, że panu i nam wstyd robiła... Niech się pan Lajzer zmiłuj!...—mówiła dalej składając ręce.—Niech się pan zmiłuje przynajmniej nad tym drobiazgiem!...

Gospodarz spojrział po izbie, gdzie wszyscy jej mieszkańcy znajdowali się już w komplecie. Troje chudych z nadmiernie wielkimi

207
35

brzuchami dzieci, kryło się między baliją i stołem zarzuconym mokrą bielizną. Czwarte okryte jakimś czarnym lachmanem, leżało na łóżku; piąte w drewnianej pace na słomie, a ich nędzny ojciec z rozczochranym włosem, najeżonymi wąsami, z bojaźnią w oku stał oparty o komin obok ciekącej konewki, na której siedział przed chwilą.

Poważną twarz żyda przebiegł dreszcz wzruszenia.

— Co tamtemu?—spytał już łagodniej wskazując na pakę,

— Coś kaszle panie gospodarzu—odparła matka.

— A temu co?—ciągnął wskazując na łóżko.

— To dziewczyna, oparzyła się niechcący ukropem.

— A wa!...—syknął gospodarz i zwracając się do Jakuba dodał:

— A jak z wami Jakóbie?

Biedak wstrząsnął głową, skureczonemi palcami podrapał komin, lecz milczał.

— No!... odpowiedź panu gospodarzowi—wtrąciła żona.

Jakub poruszył ustami, wlepił niespokojnie swoje okrągłe, zapadłe oczy w twarz gospodarza, lecz znowu milczał.

— Zostańcie z Bogiem!—szepnął żyd i nagle opuścił izbę.

— Niech Pan Bóg prowadzi!—odpowiedziała kobieta wychylając się przez poręcz za schodzącym gospodarzem, którego w sieni zatrzymał bednarz pytaniem:

— A cóż panie Lajzer?...

— Niech go Bóg ratuje, to bardzo biedny człowiek!...—odparł żyd i poszedł dalej.

— No, Bogu dziękować!—mówiła pani Jakóbową, znęcając się nad jakimś podejrzanej formy szmatem, który gwałtownie i rytmicznie targała prawą ręką, przycisnąwszy go lewą do dna napełnionej wodą baliji. No, Bogu dziękować, szczęśliwieśmy dzień zaczęli! Woda gorąca je, mydło je, roboty mamy na jakie *purubla* i gospodarz ustatkował się na jaki miesiąc. Franek!... nie grzeb patykiem w kominie, bo jeszcze co zmalujesz!... Za parę dni u sklepiciarki umyję podłogę, to nam może znowu zacznie borgować, a może i przysśle swego siostrzanka co to je u felczera, żeby Józci poradził... Maniusiu! weź się do kartofli.. Franus, a biegaj do sklepiku i wyproś bułeczkę chleba, to się odda pojutrze... Moszko gała, że ten siostrzanek to zdatniejszy od innego doktora, więc możeby on i tobie stary co poradził...

— Oj maniusiu!... tak mnie kole... szepnął chłopak w pace i zakaszał.

— Niech kole, to i ty jego koll—co ja tobie poradzę? odparła kobieta. Posłuchaj stary! zwróciła się do osłupiałego męża—ot widzisz, przecie to i twoje dzieci, pomóż-że im. Oj! bodajem ja była pierwej oslepla, niżem wyszła za ciebie...

W tej chwili zatrzeszczały i zadudniły schody, a na progu izdebki ukazała się jakaś kobieta, jeszcze młoda, lecz wynędzniała i ubogo ubrana.

— Moja złocista pani Jakubowa—zawołała przybyła—a oddajcież co prędzej statki, bo mi stara chyba łeb ukreśli...

— Statki?... spytała przerażona praczka. Statki?... a jakże ja dokończę?...

— Cóż ja na to poradzę, moiście wy!... Pókim mogła pótym wam w sekrecie pożyczala, ale jak się wydało, stara ani słyszyć o was nie chce, wola, że pójdzie do cyrkułu, wyzywa od złodziei i powiada, że jak jej w moment nie oddacie balii i sagana, to wam policjantów nśle z całej Warszawy...

Praczka schwyliła rękami za krawędź balji.

— Nie dam balii!... nie dam sagana!... nie nie dam!... Ja tu nigdzie statku nie dostanę, a w domu nie ma co jeść i robota pilna...

Przybyła załamała rękę.

— Bójcie się Boga! co wy gadacie?... To za moje dobre serce chcecie, żeby i mnie i was do cyrkułu powiedli? Jakubowol!... kumol!...

Dzikie uniesienie biednej matki we lzy się rozplynęło. Cóż miała robić? jak mogła nie oddać rzeczy, które nie były jej własnością?... To też nie dziw, że po kilkunutowych proźbach i zaklęciach, sama wreszcie wydobyła mokrą bieliznę z balii i sama pomogła wylać z naczyn do rynsztoka wodę gorącą, dla przechowania której, nawet Marcin, poczciwy bednarz nie mógł jej statku wynaleźć!...

Drobny ten napozór wypadek obezwładnił biedną kobietę, która siadłszy na jedynym stolku w izbie i ukrywszy twarz w fartuch, zaniosła się od płaczu.

— Ot tobie stary żona! ot tobie dzieci!—wołała szlochając. Chciało ci się żenić, masz teraz! Wszystko wali się na moją biedną głowę, a jakąż ja radę dam, kiedy z izby ostatni żeleźniaczek i balijka między żydy już poszły!...

We drzwiach stanął smutny i zadyszany Franek.

— Matusiu!—rzekł—we sklepiu nie chcą dać chleba i jeszcze mówią, żeby matusia za dawniejszy zapłaciła..

— Ale!... A skądże ja zapłacę, kiedym ostatni grosz na mydło wydała?!

— Matusiu!... szepnęło chore dziecko z łózka, matusiu!... chyba my już dziś nie będziemy jedli?..

208

I uroniwszy te słowa biedactwo utkwilo bojazliwe spojrzenie w zaplakanej twarzy matki.

Od palącego duszę wzroku dziewczyny, Jakubowa odwróciła oczy w inną stronę, a tam zobaczyła poźółkłą twarz kaszlącego chłopca, który ze swojej paki wytknął najeżoną głowę; spojrzawszy ku drzwiom, spotkała trzy pary lękliwie pytających o chleb żrenie; zwróciła się wreszcie ku kominowi, lecz i tam znowu dostrzegła oczy, okrągłe, zapadłe oczy swego biednego męża, utkwione w nią z jakimś bezsilnym wyrazem.

Wówczas w sercu tej kobiety żal i rozpacz przemieniły się we wściekłość; lzy jej oschły, a przed chwilą uboga praczka zamieniła się teraz w wilczycę, która wietrzy niebezpieczeństwo i postanawia bronić szczeniąt.

— Słuchaj no stary! syknęła przez zaciśnięte zęby do męża, kładąc mu na ramieniu ciężką, spracowaną i jeszcze wilgotną rękę. Słuchaj i ruszno się, bo w domu nie ma nic...

Stary mileżał; żona wstrząsnęła nim.

— Słuchaj stary, radź co teraz, boś ty chłop, a mnie już wszystko z rąk ucieka... Idź między ludzi i dostań robotę, albo uzebraj co, byle chleb był w domu, bo ja tu z dzieciskami nie wytrzymam...

Stary znowu mileżał i błędnym okiem patrzył przed siebie; żona pochyliła się nad nim jeszcze bardziej i głucho szepnęła.

— Idź już!... powiadam ci idź!... Zrobisz, czy nie zrobisz co— idź, byleś mi z oczu zszedł, bo albo twoja albo moja śmierć...

Nędzarz ocknął się; czy zrozumiał co? trudno zgadnąć, lecz pewnem jest, że czuł wszystko. Czuł wilgoć w mieszkaniu, czuł głód, ból okaleczalej nogi, zawrót swojej biednej rozbitej głowy, a nadewszystko to, że nie ma już dla niego miejsca na rodzinnym barłogu.

Gdy wstał z konewki, żona wcisnęła mu czapkę na głowę i zleka popchnęła ku drzwiom. Nie obejrzał się nawet, lecz schodząc na dół usłyszał głos syna, mówiącego:

— No, nie becz Mańka! Tatus poszedł na miasto i chleba nam przyniesie, ba! jeszcze i wędzonki, jak dawniej.

Wyszedłszy z domu nędzarz zatrzymał się przed bramą dziwiwny. Dziwiła go jasność dnia i ciepło słoneczne; dziwiły go wesole twarze przechodniów, którzy mówiąc nie narzekali, ani wołali o chleb; dziwił go obszar ulicy, na której mógł odetchnąć nie czując woni mydlin i poruszyć się nie czując na sobie wzroku zrozpaczonej żony

i zgłodniałych dzieci. Gasnący umysł rozjaśnił się nieco i Jakub przypomniał sobie, że powinien gdzieś iść i szukać chleba.

Iść—lecz gdzie? ulica ciągnęła się w obie strony. Na lewo bruk był bardzo nierówny, na prawo chodnik; Jakub miał nogę skaleczoną, więc poszedł na prawo. Mógłże pomyśleć, że ów niewyraźny, instynktowy pociąg do gładkiej drogi, jest jednym z szarpnięć straszliwej maszyny przeznaczenia, której niemilosierne tryby w tym dniu jeszcze zdruzgotać go miały?!...

Na skrócie ulicy zetknął się z jakimś stróżem w niebieskiej bluzie nader pilnie zamiatającym schody nędznego szynku.

— I i i ..hy! — zawołał stróż — bandzie pogoda kiej pan Jakób wylazł. Jak się macie?...

— Bóg zapłać panie Walenty! — mruknął Jakub, zapewne pierwszy raz od dni kilku.

— Coście wy się tak już z tydzień niepokazywali?... Gadają ludzie, że u was w chałupie bida, he?..

— Juźci, że bieda! — odparł Jakub. Roboty niemam...

— Roboty!.. kto ją ta ma? Tak samo jak pieniędzy; tylo zydy i wielkie panowie mają... No, chodźta do cukierni!..

Z temi słowy wprowadził Jakóba do szynku, gdzie oprócz właściciela, żydka z bardzo chytrą miną, siedział a raczej drzemał wsparty o dużą kufę jakiś jegomość w pomiętym kapeluszu i wypłowiałym surducie, którego barwy najjaśniejsze przy kołnierzu, na plecach przechodziły w kolor musztardowy, a około kieszeni w ciemno tabaczkowy.

— A wa... nas pan Jakub!.. — wykrzyknął żyd. Taki gość.. chyba węglem w kominie zapisać?.. Co sze to z panem Jakubem rabiało?..

— Nieno Jankiel spagatówki tu postawi, ino prandko — zakomenderował Walenty.

— Pan Jakub jesse robi u mulaze?..

— Aha robi!.. Zleciał na łeb z ruśtowania i tera ameryture dostał... No prandzy wódki!.. — odparł Walenty.

— A pyniedzy?... — spytał żydek, zakładając ręce w tył i chwytając się na rozkraczonych nogach.

— Jakie pieniądze?.. a bez pieniędzy to nie łaska? Ja funduję!.., huknął Walenty.

— Pan Walenty funduje?... Ny, to z tegie chlebie . to z tegie mąkie.. No, nie nie będzie z tegie!.. zakonkludował Jankiel.

— A... a... panu Walentemu!.. — ocknął się wypłowiały jegomość z pod kufy. A..moje u.. szanowanie!.. Cóż to za obdartus z panem Walentym przyszedł?... niechże mam honor poznać!..

— To mój kamrat—odparł stróż. Pan Jakub co był u młazy ale rozbił się i tera roboty suko..

— Ha! ha!... roboty w szynku? Głupstwo robota—w całej Europie nie znajdzie roboty, tylko wódkę.. wódkę, jeżeli ma pieniądze... Jankielku, mój szczupaczku, a dajno mi tam kieliszczynę..

— Znowu na burg?...—spytał żyd płaczliwie. Juz mi pan Ignacy tyle od rana winien i jesce chce?..

— Com ci od rana winien, ty psi flaku?... ja?... tobie?... winien?..

— Moze nie?... Pan Ignacy z samego rana zjad obazanek, potem wódki wypiuł, potem znowu wypiuł i znowu zjad i znowu wypiuł ze dwa razy i znowu chce pić?..

— Panie Ignacy!—zaczął Walenty—ja sobie myślę, mozeby pan Jakubowi jaką prozbę wystafirował do państwa, zeby choć trochę cłkowi dopomódz...

— Prozbę?... temu obdartsowi?... dziwił się pan Ignacy, widocznie bardzo pobłażliwy na usterki swojej garderoby. To się na dyjabła nie zdało!.. Mnie zapytajcie, co prozby znaczą, mnie.. bom ja sam chodził z listem, gdzie było napisano... Wódki psia wiaro!..

— Nima wódki!.. odparł żyd.

— W liście moim—ciągnął pan Ignacy—stało wyraźnie napisano, jako ja, Ignacy, od urodzenia głuchoniemy, a przytem zbankretowany majster, polecam się wzglę... względem Jassnie Wielmożnych i Wielmożnych państwa... I co myślicie?... Moze myślicie, że oni wspomogają kogo?... Sto dyjabłów tam!.. Oni tylko umieją wyzywać od pijaków... Mnie... mnie samego nazwali pijakiem!.. Wódki bydłęcy ogoenie!.. bo cię zabiję, spalę, zaskarzę... hup!...

W tej chwili wpadła do szynku jakaś zaperzona kobiccina okrzykiem:

— Ty znowu w szynku nicponiu, znowu?... A ja ci tu..

— Magdziu!.. Magdusi!.. zaczął zdetenowany Walenty. Ja nie.. Ja tylko z Jakubem...

— Z Jakubem?... wrzasnęła żona. I ty się nie wstydzisz chodzić z Jakubem, co jest gorszy od dziada, bo i sam nie ma co jeść i jeszcze dzieciom chleb odbiera?..

To powiedziawszy schwyła męża za kołnierz.

— Walu!.. nie daj się, mój cynaderku!.. zachęcał go pan Ignacy.

— Jeszcze i ty pijaku i ty?... Ja wam obu sprawię!

I po tej groźbie zepchnęła męża i pana Ignacego ze schodów na ulicę, rozdając między obu z wielką wprawą po parę kopnięć nogą, od której na surducie pana Ignacego bardzo wyraźny ślad pozostał. Jakób wyszedł za niemi.

— Fiuuu... jaka jęcza! zwrócił się do biedaka Ignacego, gdy już małżeństwo znikło im z oczu. Prawdziwa laska Boża, zem jej w moje ręce nie dostał!... Fiuuu!...

Tak pogwizdując i zataczając się, chwycił pod rękę Jakóba i pociągnął go za sobą.

— A jak ci tam moja miętóweczko? zaczął.

— Jakub! odpowiedział oszołomiony biedak.

— Otóż widzisz mój Ja... Jasiu, powiem ci tyle tylko, żeś głupi, kiedy szukasz roboty... Robota to nie dla takich jak ty, robota to głupstwo i wszystko głupstwo!...

Przy tych słowach blada i napuchnięta twarz pijaka okazywała wielkie zmartwienie.

— Powiadam ci... prawil dalej, jak ci tam?...

— Jakub!

— Powiadam ci, mój Jacusiu, wszystko głupstwo! I to słońce... a psik!... Ja zawsze kicham, ile razy spojrzę na słońce... Głupstwo słońce i ziemia i domy i bogactwa!... Taki, powiadam ci, człowiek z edukacją, jak ja, utrzymać się nie może, a dopiero ty?.. O zaslepienie ludzkie!... Ale... jakże ci tam, bo ciągle zapominam?...

— Jakub.

— Otóż, powiadam ci mój Jędrusiu, ja, z moją szlachetnością w sercu, żebym miał dzieciom chleb odbierać i być niepotrzebny na tym świecie... powiadam ci, poszedlbym na most i... i słowo honoru... hult w wodę!... Hult w wodę!... żeby nikomu niezawadzać mój Józiu.

— A może ci świata za? dodał pan Ignacy patrząc błędnymi oczyma w twarz Jakuba. Jęd... Jędrusiu turrrkaweczko [moja, nie bądź głupi!... Wszystko, co tu widzisz dokoła, to marność... to czezość... Pluć nie warto powiadam ci!...

Nagle urwał i stanął z podniesionym do góry palcem, jakby pragnął powstrzymać grom wżgardy, zbyt pośpiesznie rzucony na otaczającą go rzeczywistość, jakby uznał, że miejsce na którym znajdują się obecnie, nie usprawiedliwia bynajmniej, może słusznego, lecz w każdym razie zbyt gwałtownego wstępu do świata. Tu wodociąg, tam szynk, w suterynie flaczarnia, a obok niej jeden stragan z pietruszką, drugi z pieczywem, trzeci z wędlinami, przy którym w kociołkach mających formę wanierek gotowały się kiszki i kiełbasy.... Pan Ignacy ucał, że na widok ten mięknie mu serce, zaczął więc znowu ale już z innego tonu:

— Wiesz co mój Fran.. Jakże bo ci tam?..

— Jakub! odpowiedział nieszczęśliwy towarzysz.

— Aha! Otóż wiesz mój Jasieczku, że... że dalibóg miałbym wielką ochotę zafundować ci co... Możebyśmy też tak... kieszeczki, z buleczką? Aż mi pachnie, powiadam ci!...

— Jeżeliście łaskawi!...

— A możebyśmy, słuchaj, pierwej wódeczki, a potem flaczków?... Widzisz... kiszkę jeść pod straganem, to strasznie ordynarr!...

— Ii... co tam! odparł Jakub.

— A gdyby też, posłuchajno mnie, naprzód wódeczki, a potem kielbaski, he?...

— Moznaby!.. Dla czegoż?!.

— Hum! Widzisz... mój Piotrusiu, ja funduję... tylko ja, nikt więcej... No, ale daj pyska, daj dzióbka... niech cię!.. (To powiedziawszy, pochylił się na prawo i ucałował kołnierz, potem na lewo i zawadził nosem o ucho Jakuba). Ale widzisz, pożycz mi zlotówczyne, nie więcej, niech cię Bóg bronil!.. bo.. bo ja nie wzięłem z sobą..

— Abo ja mam!.. zkądbym ja wziął zlotówkę? odpowiedział smutnie Jakób.

— Nie masz?.. zlotówki?.. Fiul!.. A chciało ci się proźbę pisać? Fiul!.. A chce ci się z porzadnymi ludźmi pod rękę chodzić?... Dla Boga! i ten bezecny Walek zaznajamia mnie z takim hołyszem?.. Bywaj zdrów Jacusiu! Muszę wstąpić do cukierni... może jest kto znajomy... Adiul!..

Z temi słowy pan Ignacy wbiegł do nowego szynku i upadł na ławę, pozostawiając Jakuba na ulicy, zwróconego twarzą ku Wisle, do której ztąd było zaledwie kilkaset kroków.

* * *

Jakim sposobem trafił, kiedy zasnął i jak długo spał Jakub, trudno zgadnąć; dość że około zachodu obudził się pod szychdami, wprawdzie rozgorączkowany, lecz spokojniejszy i przytomniejszy niż zwykle.

Spał na śmieciach, które rozgrzebywało kilka kur i prosię, tuż koło niego i nie zważając na niego, jak na rzecz martwą, lecz Jakub był na to obojętny. O kilka kroków od siebie widział on starą i poplamioną lecz jeszcze dość całą czapkę, z której mogłby zrobić bardzo miły podarunek dla swego syna, nie podniósł jej, jednak, tak jakby nie podniósł w tej chwili i woru ze złotem.

Poniżej swego ohydneho posłania dostrzegł on dwu chłopców, widocznie nieznających się z sobą, z których mniejszy rzucał kamienie na wodę, wyższy zaś zdawał się rozmyślać nad sposobem zawarcia z nim znajomości. Jakub ucałował dziwną sympatyją dla tych wyro-

stków, chętnieby nawet porozmawiał z nimi, tylko że nie mógł jakos zebrać się na wypowiedzenie pierwszego słowa; milczał więc i słuchał.

— Hej tam! zawołał nagle wyższy, — a nie przestaniesz rzucać, hę?..

— No, — abo co? odparł niższy.

— Bo to — że w mordę dostaniesz, jak będziesz rzucał!..

— O! a za co?..

— Za to, że niewolno rzucać na wodę kamieni. Nie wiesz, czy co? Podczas gdy Jakub napróżno usiłował przypomnieć sobie tak dziwny zakaz, mały chłopiec przystąpił do wyższego, który znowu zaczął.

— Widzisz ty *cybulusie* tego łobuza na górze? I to mówiąc wskazał na Jakuba.

— Możeby w niego z parę razy?.. spytał nieśmiało młodszy. — Pal go! zawołał starszy.

Po tej komendzie, kilka kamieni świsnęło nad Jakubem, jeden padł około jego głowy, drugi trafił w chorą nogę. Jakub syknął z bólu i usiadł na śmieciach, co widząc chłopcy uciekli..

— Czego oni chcą odemnie?.. com ja im winien?.. mruknął nędzaryz, — lecz nim zdołał odpowiedzieć na to pytanie, usłyszał za sobą gruby głos:

— Oho! znowu jesteś ptaszku?.. nie widzieli go tu!.. Jakub obejrzał się; za nim stał silny i wysoki człowiek wyglądający na stróża.

— Jeszcze ci się chce co upolować? — ciągnął przybyły. Niedawność pokradł deski i dziś znowu przychodzisz kanalijo.

— Ja nie kradnę desek, — szepnął Jakub.

— Nie kradniesz ty, tylko twój brat za ciebie... Znamy się lisku... Won ztąd.

Biedak podniósł się.

— Czego wy chcecie odemnie człowieku?..

— Won ztąd! krzyknął jeszcze głośniejszy przybyły, i schwyciwszy Jakuba za ramię, gwałtownie wypchnął go na drogę.

Nędzaryz teraz dopiero uczuł, że go noga boli straszliwie, że go głowa pali i język mu z pragnienia wysycha. Chciał jeść, chciał pić, chciał spocząć gdzie, ale miejsca nie było.

Na skrócie pustej i niebrukowanej ulicy, za stosem belek, dostrzegł rudego dziada, w starym wojskowym płaszczu i z płócienną torbą na ramieniu. Dziad siedząc układał coś na kolanach i mruzczał:

— Krajanka chleba... za duszę Piotra i Agaty. Suchy chleb!.. Trzy ogórki, żeby pan Bóg dał deszcz... Może i da? Szóstak za dusze zmarłe... Wieczny odpoczynek!..

211.

Jakub zrobił parę kroków naprzód.

— Litościwa osobo! zmiłuj się nad biednym sierotą!. zaczyna dziad, raczej skutkiem przyzwyczajenia niż nadziei, aby prośba jego przydać się na co mogła.

Jakób stanął.

— I i i... dziadku,—rzekł,—jeszcze by mnie się co od was należało!..

— Wam?... odemnie?... zawołał dziad zdumiony.

— A ino?.. Wyście dziś jedli, a ja nie!

— No patrzaj! nie jedliście?.. a to jedzcie, kto wam bronil! mruknął dziad szybko chowając swe zapasy.

— A kiej nie mam co jeść...

— To sobie zaróbcie! On myśli, że teraz dziady to tak wielkie panowie jak dawniej...

— Pewnie, że chciałbym zarobić, ale nie mam gdzie.

— O ho.. nie mam gdzie. To się powieście!

— I powroza nie mam!

— To go ukradnijcie!. zakończył dziad z gniewem. Ja tam ani wasz brat, ani swat, żebyście mi głowę zawracali.

Wszystkie cierpienia fizyczne i moralne odżyły w biednym Jakubie. Zdawało mu się, że go ze wszech stron otaczają jakies sieci niewidzialne, jakies narzędzia męki przed którymi chciał uciec. Chciał uciec przed swoją nogą krwawiącą się i opuchłą, przed swoją głową w którą tysiące młotów kulo, przed spojrzzeniami głodnych dzieci, które jak ostre gwoździe wbijały się mu w serce, przed wyrzutami żony, które jak roztopiony ołów upadały na niego, słowem przed wszystkim... przed wszystkim!..

Z tej strasznej zadumy ocucił go brzęk szkła i krzyki.

— Giewał!.. lufcik zbil!.. łapaj!.. trzymaj!..

To on zbil lufcik, to jego łapać kazano!.. Jakub rozejrzał się: był już nie daleko swojej ulicy, wpadł więc na nią, zmieszał się z tłumem przechodniów i znikł w bramie.

Na podwórzu zaczął go bednarz Marcin:

— Nie macie się czego kwapić do domu: Mańka gdzieś zginęła na ulicy, i wasza wyszła za nią z chłopcem, a resztę dzieci zamknęła w izbie.

Jakub nie odpowiedziawszy nic, wbiegł na schody, a ze schodów do komórki pod strych, gdzie były sznury, na których wieszano bieliznę i garstka grochowin na których zwykle sypiał. Tu zziązany, rozgorączkowany, sparł się o jedną z belek i w najwyższym niepokoju począł wyglądać przez dymnik oczekując na coś...

Czekał niedługo, w kilka minut bowiem ukazał się na podwór. jakiś żyd w towarzystwie kobiety.

— Marcinie! zawołała do bednarza kobieta, a gdzie tu Jakuba siedzi?

— A na co go wam?..

— Jaki to na co?.. wtrącił żyd. Na to żeby wam za szybę zapłacił, co ją zblł...

— I toście wy Katarzyno pokazali drogę do Jakuba? spytał bednarz kobiety.

— Przecie to nie darmo! objaśnił żyd. Wuna odemnie wódki dostanie...

— Widać żebyście wy Katarzyno rodzonego ojca za kieliszek wódki sprzedali,—mruknął pogardliwie bednarz.

— Nu, co tu dużo gadać,—przerwał żyd: pokazujcie Katarzyno bo ja nie mam czasu.

Zawstydzona kobieta milczała, spoglądając ukradkiem na dymnik, gdzie w półcieniu dostrzegła wynędzniałą twarz Jakuba.

— Nu, gdzie to jest Katarzyno?.. nalegał żyd.

W tej chwili ręce Jakuba podniosły się nad głowę.

— Dajcie mi tam spokój! odparła kobieta.

Głowa w dymniku poruszyła się gwałtownie, twarz przebiegły konwulsyjnie dreszcze.

— Wynoś się żydu! huknął Marcin. Co się będziesz w cudzym domu rozbijał!..

Twarz wyglądającego ze strychu Jakuba zrobiła się blado-siną.

— Za co wynoś... co to wynoś?.. giewał! wrzeszczał rozgniewany żydek, i na podwórzu rozpoczął się hałas, który dopiero przybycie Lejzera Skowronka uciszyło. Stary gospodarz uspokoił uszkodzowanego i kazał mu iść do domu.

— Niech panu Bóg wynagrodzi! rzekł bednarz uchylając czapki. Już na tych biednych ludzi tak się wszystko wali, że aż strach... Teraz oto dziecko im zginęło.

— I dziecko się znajdzie,—odparł gospodarz,—i jeszcze dobrze będzie. Ja dziś gadałem o nich z zakonnica, a zakonnica powiedziała, że starego zabierają do szpitala i dzieci do ochrone i Jakubowe dadzą robotę... Będzie gut!

— Jakubie! zawołał bednarz podnosząc głowę,—a zejdzta ino na dół... Nagle urwał i potem niespokojnie dodał: Co jemu jest?..

— Co jemu jest? powtórzył wyblady gospodarz patrząc w dymnik.

W tej chwili w bramie domu ukazała się praczka niosąc na rękach znalezione, śpiącą ze zmęczenia dziewczynę; obok niej biegł

506 L

najstarszy chłopiec z potężnym kęsem chleba, nad zmniejszeniem którego nader usilnie pracował.

Zobaczywszy sędziwego żyda Jakubowa zaczęła mu dziękować; ten jednak machnął niecierpliwie ręką i poszedł na górę, a za nim bednarz i praczka z dziećmi, w towarzystwie kilkorga podwórzowych gapiów.

Przededrzwiami komórki gospodarz zatrzymał się i rzekł:

— Wejdźcie wy naprzód panie Marcinie...

Lecz i Marcin nie wszedł, spojrział tylko wgląd komórki przez szczelinę między deskami i cofnął się przerażony.

Nie wiedząc o co chodzi, Jakubowa pierwsza stanęła we drzwiach, a za nią gapie.

— O Matko moja Boska! zawołała nagle kobieta,—a cóżes ty zrobił najlepszego Jakubie...

— Dajcie znać do policyi, dodał ktoś Jakub się powiesił!

Oderznięcie go, może jeszcze ciepły...

— Nie dotykajcie się, bo za to kryminał...

Powstał zgiełk i bieranina: najsprzeczniesze zdania krążyły między gromadą, która w kilka minut zapełniła korytarzyk i schody.

— A wa! a wa!.. lamentował gospodarz, drżąc na całym ciele. Taki strach, taki grzech, taka kompromitacyja!... Za co on to zrobił... po co on to zrobił?... Ja komornego nie brałem, ja jego dzieciom dopomagałem, ja za nim do zakonnice poszedłem, a on się powiesił.... Nu, róbże tu ludziom dobrze, to oni ci tak zapłacą....

— Nie gniewajcie się panie Lajzer!—wtrącił niemniej zmieszany bednarz, bo on nie przez złość tak zrobił, ino przez to, że miał złe w głowie.... Jemu i sam Pan, Bóg daruje...

Tak narzekali i litowali się dobrzy ludzie, a tymczasem przywiązany do krokwi dachu wisiał trup Jakóba. Biedna głowa jego opadła ku ziemi, lecz na zsiniałej twarzy, zamiast obłędu, trwogi i bólesci, rozlewał się majestatyczny spokój śmierci.

WINEP
im. H. Łopacińskiego
w Lublinie
sygn. 1812